

Janusz Krzyżanowski wśród Polonii



15 listopada 1997 r. Janusz Krzyżanowski w trakcie spotkania w IJPA poświęconego Tadeuszowi Katelbachowi, fot. arch. autora

Krzysztof Langowski (*Nowy Jork*)

Spoglądając z obecnej perspektywy na dzieje polskiego uchodźstwa niepodległościowego na terenie Stanów Zjednoczonych po zakończeniu działań wojennych w 1945 r. nie sposób ją sobie wyobrazić bez znajdujących się w niej znaczących osobowości. Te właśnie indywidualności swoim poświęceniem, a także działalnością polityczną, społeczną i jednocześnie troską o zachowanie narodowych imponderabiliów w walce z komunistycznymi wpływami na polonijne środowisko niepodległościowe, dawały realne świadectwo istnienia poza Polską wolnej myśli w dziedzinie utrwalania tradycji, kultury i prawdy historycznej narodu polskiego. Podejmując się obecnie próby wskazania kilku ważniejszych postaci, które podjęły skuteczną pracę w emigracyjnym środowisku, bez najmniejszego wahania, możemy

wskazać przede wszystkim na Janusza Krzyżanowskiego, Stanisława Gierata, Tadeusza Katelbacha, Andrzeja Ehrenkreutza i Wacława Jędrzejewicza.

Janusz Krzyżanowski urodził się 13 lipca 1921 r. w Buczaczu w woj. tarnopolskim, który obecnie znajduje się na terenie Ukrainy, jest przez nas w rzeczywistości zapamiętany, jako osoba która była przede wszystkim więźniem sowieckich łagrów, żołnierzem, działaczem społecznym i niepodległościowym na uchodźstwie. Wybuch drugiej wojny światowej we wrześniu 1939 r. i klęska osamotnionych wojsk polskich nie zniechęciła go jednak do kontynuowania walki z okupującymi kraj wojskami niemieckimi i sowieckimi. Podjął próbę przedostania się ze Lwowa, gdzie mieszkał, przez granicę z Rumunią do tworzącego się we Francji Wojska Polskiego. Niestety został aresztowany przez oddział NKWD i następnie więziony we Lwowie i w obozie w Starobielsku. Skazany przez sąd sowiecki na dziesięć lat ciężkiej pracy, a następnie przewieziony do łagru w rejonie Peczora na Workucie. Dzięki podpisaniu umowy w dniu 30 lipca 1941 r. pomiędzy rządami polskim i sowieckim w Londynie, Krzyżanowski został uwolniony z łagru i dotarł do formującej się na terenie Rosji Armii Polskiej. Rok później razem z oddziałami polskimi został przetransportowany do Iranu, gdzie został przydzielony do Szkoły Podchorążych 8. Dywizji Piechoty znajdującej się w miejscowości Pahlawi. Wkrótce później po przerzuceniu go na Wyspy Brytyjskie został wcielony do dowodzonej przez gen. Stanisława Sosabowskiego Samodzielnej Brygady Spadochronowej, a następnie do Oddziału VI (Specjalnego) Naczelnego Wodza, gdzie na stanowisku instruktora zajmował się szkoleniem spadochronowym żołnierzy polskich. Koniec działań wojennych w 1945 r. i zajęcie kraju przez wojska sowieckie, a także utworzeniu tam komunistycznego systemu, zmusiły go do pozostania na stałe na emigracji. Dlatego też w latach 1946-1948 był przydzielony do rozlokowanego na terenie Wielkiej Brytanii Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia. Ostatecznie kilka lat później w 1951 r. przeniósł się z Wielkiej Brytanii do Stanów Zjednoczonych, gdzie zamieszkał na krótko w Chicago w stanie Illinois, aby rok później przenieść się i zamieszkać na stałe w Newark w New Jersey.



3 sierpnia 1979 r. Janusz Krzyżanowski i prezydent Jimmy Carter w trakcie spotkania w Białym Domu w Waszyngtonie, fot. arch. autora

Już po przyjeździe do Ameryki Janusz Krzyżanowski związał się z działalnością społeczną i wstąpił w szeregi istniejącej w Chicago placówki nr 2 Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej (SWAP). Jednakże rozłam, który nastąpił pomiędzy starymi działaczami, a nowoprzybyłymi żołnierzami z frontów II wojny światowej po decyzjach podjętych przez tych pierwszych na zjeździe SWAP w dniach 30-31 maja 1952 r. w Utica w Stanie Nowy Jork doprowadził do działań mających na celu zorganizowanie Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Ameryce. Zebranie Komitetu Organizacyjnego nowej organizacji żołnierskiej odbyło się 16 listopada 1952 r. w sali bibliotecznej Polskiego Domu Narodowego przy Saint Marx Place na nowojorskim Manhattanie. Przeprowadzenie zjazdu założycielskiego stowarzyszenia SPK zaplanowano na 6-7 czerwca 1953 r. w jednej z sal hotelu Henry Hudson przy 57 ulicy na Manhattanie. Na podstawie decyzji podjętej przez Komitet Organizacyjny

umożliwiono także wzięcie udziału w planowanym zjeździe na prawach pełnomocnych delegatów dwudziestu trzem kawalerom orderu Virtuti Militari. Wśród nich znaleźli się m.in. założyciel Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce Wacław Jędrzejewicz i działający w tej placówce archiwalno-naukowej gen. Wincenty Kowalski. Po latach Janusz Krzyżanowski wspominał „Zjazd był wielkim wydarzeniem zarówno w życiu całej emigracji polskiej, jak i w życiu polsko-amerykańskim”. W obradach wzięło udział 59 delegatów z istniejących 22 kół terenowych komórek organizacyjnych, a także ponad 500 gości. Organizatorzy zjazdu w większości byli legalistami, uznającymi prawowitą władzę Polski – prezydenta i rząd Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie. Dlatego też na zjeździe był obecny przedstawiciel tych władz w osobie ambasadora Józefa Lipskiego. Uroczystego otwarcia zjazdu dokonał Stanisław Gierat, który w imieniu byłych polskich żołnierzy zapewnił o chęci pomocy polskiej emigracji dla Ameryki „w walce z komunizmem i dyktaturą Sowietów. Zawsze w dobrej, czy złej chwili będziemy po tej stronie, która walczyć będzie z tyranią komunistycznego ucisku, aż wolność zapanuje na całym świecie”.



15 sierpnia 2004 r., prezes SPK Janusz Krzyżanowski i Komendant SWAP Wincenty Knapczyk składają wieniec pod Kolumną Matki Boskiej Hetmanki Wojska Polskiego w Doylestown, fot. arch. autora

Pierwszym prezesem SPK został wybrany Stanisław Gierat, a Janusz Krzyżanowski na stanowisko sekretarza generalnego. Obejmując to stanowisko Janusz Krzyżanowski miał za zadanie zorganizowanie i jednocześnie kierowanie kancelarią nowej organizacji. W celu propagowania idei niepodległościowej i jednoczesnego manifestowania antykomunizmu w Ameryce, a także w celu starania się o pozyskanie przez SPK przychylności środowiska polonijnego, podejmowano się organizowanie wizyt w Stanach Zjednoczonych wyższych dowódców polskich z okresu II wojny światowej, którzy mieszkali w większości na terenie Europy. Jednym z takich przypadków było wykorzystanie swoistej okazji jaką było zaproszenie na dwumiesięczny pobyt w USA przez utworzoną w 1921 r. amerykańską organizację weterańską o wybitnie antykomunistycznym nastawieniu - PLAV gen. Stanisława Maczka. Generał Maczek wziął udział w dniu 3 września 1954 r. w XII Konwencji Krajowej PLAV, która się odbyła w Buffalo w stanie Nowy Jork. Kierownictwo SPK zdecydowało się wykorzystać pobyt generała propagandowo i dlatego też Stanisław Gierat i Janusz Krzyżanowski wzięli także udział w jego oficjalnej wizycie w dniu 26 października 1954 r. u prezydenta Dwighta Eisenhowera w Waszyngtonie.

Podczas obrad III Zjazdu SPK w dniach 25-26 maja 1957 r. odbywającego się w budynku Fundacji Kościuszkowskiej na Manhattanie Stanisław Gierat zrezygnował z ponownego kandydowania na stanowisko prezesa. Na to stanowisko został wybrany jednogłośnie Janusz Krzyżanowski. Nowy prezes był bardzo sprawnym organizatorem. Często wyjeżdżał i dokonywał wizytacji poszczególnych kół SPK i niejednokrotnie brał udział w ważniejszych uroczystościach. Jako przykład może posłużyć jubileusz piątej rocznicy działalności koła SPK w Cleveland w Ohio, gdzie w swojej wypowiedzi zachęcał miejscowych kombatantów do dalszej działalności, wskazując przy tym konieczność przystąpienia SPK do Kongresu Polonii Amerykańskiej. Apel Krzyżanowskiego związany był z treścią wysłanego przez niego wcześniej pisma w imieniu Zarządu Głównego SPK w dniu 2 sierpnia 1957 r. do prezesa KPA Karola Rozmarka, w którym zadeklarował chęć przystąpienia stowarzyszenia do tej organizacji. Krzyżanowski pisał m.in., że „SPK jest organizacją patriotyczno-polityczną, w sensie ogólnopolskim, której naczelnym zadaniem jest praca zmierzająca do odzyskania przez Polskę pełnej niepodległości. Ponieważ ten

sam cel przyświeca Kongresowi, przeto SPK jest organizacją, która daje pełną gwarancję lojalności i pożytecznej współpracy”. Organizacja została formalnie przyjęta do KPA w listopadzie 1957 r. Fakt przystąpienia SPK do KPA był zdaniem Krzyżanowskiego wyjątkowo doniosłym wydarzeniem, co znalazło swe odbicie na łamach wydawanego przez SPK pisma „Kombatant” nr 4 z 1957 r., gdzie pisano „Zacierało się bez potrzeby istniejące sztuczne różnice i podziały na tzw. starą i nową emigrację, wskazując, że nic nas nie powinno dzielić, a wszystko nas łączyć, gdy chodzi o dobro Sprawy Polskiej”.



20 czerwca 2017, spotkanie w IJPA z autorem książki „Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Stanach Zjednoczonych w latach 1953-1990” Piotrem Kardelą. Stoją od lewej strony: Krzysztof Langowski, Beata Langowski, Janusz Krzyżanowski, Piotr Kardela, Mieczysław Madejski, fot. arch. autora

Jednocześnie w tym samym okresie Krzyżanowski zdecydowanie usztywniał swoje stanowisko do sytuacji politycznej, która zaistniała w Polsce po objęciu władzy przez Władysława Gomułkę. W swojej wypowiedzi z 25 sierpnia 1957 r. stwierdził m.in. „Nie ulega wątpliwości, że w Polsce zaszły duże zmiany po październiku 1956 r., ale

one są jeszcze dalekie od pełnej wolności i niepodległości kraju, co najwyżej Polska uzyskała autonomiczną niezależność w ramach imperium komunistycznego. W dalszym ciągu rządzi Polską ta sama partia komunistyczna, która jest odpowiedzialna za morderstwa i wyzysk narodu na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat. Kościół, pomimo wszystko nie uzyskał pełnej swobody. Na prasę nałożono już czerwony hamulec. Panuje nadal nędza i ucisk, a wreszcie Polska nie tylko jest pozbawiona Ziemi Wschodnich, ale w dodatku jest okupowana przez garnizony rosyjskie, których zadaniem jest ciągle trzymanie społeczeństwa w ustawicznym terrorze”.

Kilka lat później w trakcie posiedzenia VI Konwencji Krajowej KPA, która odbyła się w dniach 18-20 września 1964 r. w Chicago Janusz Krzyżanowski został wybrany na jednego z 18 członków wchodzących w skład Rady Dyrektorów tej organizacji. Był to także niewątpliwie symboliczny w swojej wymowie moment ponieważ po raz pierwszy od 20 lat od założenia KPA w jej władzach znalazł się przedstawiciel środowiska wywodzącego się z nowej emigracji wojennej. W tym okresie zarówno sam Krzyżanowski jak też i całe SPK dużo wysiłku włożyło w działania mające na celu zachowanie dotychczasowej postawy niepodległościowej realizowanej przez kierownictwo KPA, która była atakowana coraz bardziej przez przedstawicieli komunistycznego rządu państwa polskiego. Zabiegali oni o to, aby KPA ostatecznie pogodził się z rzeczywistością polityczną istniejącą w PRL i jednocześnie podjęło współpracę z rządem Gomułki. Działania SPK, które starano się realizować w celu zahamowania takich właśnie tendencji nie tylko w rzeczywistości pomogły w tym okresie w utrzymaniu dotychczasowej linii ideowej KPA, ale także zdecydowanie zaostryły stosunek do tych członków znajdujących się w tej organizacji, którzy podjęliby próby nawiązania kontaktów z placówkami dyplomatycznymi i konsularnymi reprezentującymi PRL. W dniach 27-29 września 1968 r. Janusz Krzyżanowski został ponownie wybrany na VII Krajowym Zjeździe Krajowym KPA na jednego z dwudziestu członków Rady Dyrektorów. Na tym stanowisko był wybierany przez wiele kolejnych kadencji.

Zarząd Główny SPK wydawał własne pismo „Kombatant w Ameryce”, w którym zamieszczano m.in. rzetelne relacje historyczne poświęcone tematycznie II wojnie światowej, a także działalności władz komunistycznych zarówno w Polsce jak też i ich przedstawicieli rezydujących na ziemi amerykańskiej, którzy podejmowali coraz

to nowe próby mające na celu skuteczniejsze wpływanie na polonijne środowisko niepodległościowe. Członkowie Zarządu zwracali się przy tym do władz poszczególnych kół o propagowanie na swoim terenie publikowanych przez nich informacji wśród społeczności amerykańskiej. Od chwili założenia SPK zarówno sam Janusz Krzyżanowski jak też wielu jej członków czynnie współpracowało w zakresie przedstawiania społeczeństwu amerykańskiemu prawdy o Polsce, jej kulturze, tradycji i historii najnowszej z istniejącym na terenie Nowego Jorku od 4 lipca 1943 r. Instytutem Józefa Piłsudskiego. Zarówno Instytut jak też i SPK łączyła przede wszystkim wspólnie propagowana idea niepodległościowa, wspieranie istniejących na uchodźstwie w Londynie władz państwa polskiego, a także niechęć do władz komunistycznych w Polsce. W szeregach zarówno Instytutu jak też i SPK działało wiele osób, wśród których można wyróżnić poza samym Januszem Krzyżanowskim także m.in. Stanisława Gierata, Wacława Jędrzejewicza, Leonarda Zub-Zdanowicza, Tadeusza Siutę, Wiesława Domaniewskiego, Stanisława Jordanowskiego, Edwarda Kleszczyńskiego, Jerzego Lerskiego, gen. Władysława Bortnowskiego, gen. Wincentego Kowalskiego, Andrzeja Pomiana, Andrzeja Ehrenkreutza i Tadeusza Katelbacha. Zwyczajowo także związki z IJPA były dodatkowo zaciśnięte przez fakt, że obydwaj prezesi SPK byli także członkami Rady w tej nowojorskiej placówce archiwalno-naukowej. Stanisław Gierat zasiadał w tym gremium od 1965 r. aż do swej śmierci w 1977 r. a Janusz Krzyżanowski w okresie od 1978 r. do 2019 r. Wyraźnym przykładem takiej właśnie współpracy, na który można wskazać, jest niewątpliwie również wspólna wizyta przedstawicieli SPK i IJPA w dniu 25 września 1965 r. u gen. Kazimierza Sosnkowskiego w Arundel w Kanadzie z okazji jego osiemdziesiątych urodzin. Z Nowego Jorku pojechali wówczas Stanisław Gierat, Janusz Krzyżanowski, Kazimierz Bendyk, Witold Nurczyński i Edward Kleszczyński.



4 grudnia 2018, Newark, New Jersey, Beata Langowski i Janusz Krzyżanowski z dokumentem awansu dla niego na stopień pułkownika podpisany w dniu 17 października 2018 r. przez szefa MON Mariusza Błaszczaka, fot. ach. autora

Wspólne działania mające na celu przeciwstawienie się akcji podjętej przez władze komunistyczne w Polsce, kierowane przez rząd Edwarda Gierka przeciwko środowisku niepodległościowemu w Ameryce podejmował Janusz Krzyżanowski wspólnie z działaczami Instytutu Józefa Piłsudskiego, także w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych XX w. Komuniści podjęli wtedy kolejną próbę mającą na celu doprowadzenie do skutecznego skonfliktowania ze sobą środowiska starej Polonii przeciwko powojennej emigracji żołnierskiej. Zgodnie z przyjętymi pierwotnie założeniami środowiska niepodległościowego amerykańskiej Polonii nawiązanie choćby luźnych kontaktów z instytucjami krajowymi w zdecydowany sposób podważało sens dalszego oporu wobec komunizmu i jednocześnie kontynuacji

trwania na emigracji. Dlatego też podobnie jak i w poprzednich latach działacze niepodległościowi wśród których zdecydowanie wyróżniali się zarówno sam Janusz Krzyżanowski jak też i ci, którzy byli skupieni w Instytucie Józefa Piłsudskiego trwali zdecydowanie w swoim sprzeciwie do zaistniałej po 1945 r. w Polsce rzeczywistości i dlatego też zostali nazywani przez swoich politycznych przeciwników „niezłomnymi”. Środowisko „niezłomnych” było przeświadczone o tym, że nie można było zaakceptować nawet najmniejszych ustępstw, niezależnie, czy miało to być związane z podjęciem kontaktu z instytucjami naukowymi w PRL, korzystaniem z biur zagranicznych Pekaó lub Orbisu, zakupami w Cepelii, pójściem na koncert zespołu pieśni i tańca „Mazowsze”, czy choćby także o zwykłą chęć odwiedzenia rodziny mieszkającej w Polsce. Takie właśnie ustępstwa pojmowane było przez nich jako bezwzględna zdrada ideałów niepodległościowych. Dlatego też zdecydowanie zaprotestowano w tym czasie m.in. przeciw zapraszaniu do Ameryki przez polonijne instytucje działaczy komunistycznych jak prezesa Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia” prof. Mieczysława Klimaszewskiego i referenta spraw polonijnych w Komitecie Centralnym PZPR prof. Hieronima Kubiaka.

Janusz Krzyżanowski zmarł 21 marca 2019 r. w Newark w New Jersey. W trakcie uroczystości pożegnalnej zmarłego w dniu 30 marca 2019 r. w kościele św. Stanisława Kostki na nowojorskim Greenpoincie dr hab. Sławomir Cenckiewicz w swojej wypowiedzi stwierdził m.in., że odprowadzając na wieczną wartę

płk Janusza Krzyżanowskiego rozstajemy się dzisiaj bezpowrotnie z epoką niepodległościowego wychodźstwa w Ameryce. Odszedł ostatni z wielkich niezłomnych i nieprzejednanych przedstawicieli emigracji, którzy od czasu II wojny światowej - wspólnie z Polonią - dźwigali na swoich barkach trud walki o Sprawę Polską w Ameryce. [...] Żegnamy więc dzisiaj Człowieka, którego żywot ostatnich dekad stanowi pewną klamrę epoki, a cały żywot nas zwyczajnie zawstydza, bo jego naczelnym imperatywem była służba dla Polski, aż do wyrzeczenia się własnego szczęścia, zaszczytów, wygod i bogactwa. „Wszystko dla Polski - nic dla siebie” - oto dewiza, którą żył płk Janusz Krzyżanowski!.

Artykuł ukazał się w tygodniku „Kurier Plus”, 22 maja 2021 r. nr 1393 (1693) na stronach 1 i 12.

Zobacz też:

Wacław Jędrzejewicz w 128. rocznicę swoich urodzin

Tomasz Jędrzejewicz o swoim ojcu Wacławie. Anegdoty.

Tomasz Jędrzejewicz (*Austin, Teksas*)



Wacław Jędrzejewicz, minister w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Warszawa 1934 r., fot. Willem van de Poll, wikimedia commons

1951-1952

Pewnego razu podczas rozmowy z ojcem wspomniałem, że jeden z moich kolegów z klasy miał brata, który właśnie dostał pracę jako kierowca buldożera przy różnych pracach budowlanych. Powiedziałem ojcu, że jego pensja wyniesie 25 dolarów za godzinę, czyli około 10 000 rocznie. To była wtedy bardzo imponująca suma. Zastanawiałem się, czy nie powinienem takiego zajęcia wziąć pod uwagę. Spodziewałem się, że mój ojciec wymyśli wszelkiego rodzaju argumenty, aby mnie odwieść od tego pomysłu. Zamiast tego mój ojciec po prostu powiedział: *I co wtedy? Co dalej będziesz robił?*

I wtedy przeszła mi ochota, aby zostać operatorem buldożera.

*

1951-1952. Kierownictwo w szkole.

W liceum byłem w drużynie lekkoatletycznej, a mój ojciec bardzo wspierał różne zajęcia sportowe. Kiedyś moje oceny w szkole znacznie spadły. Ojciec niewiele mi o tym mówił, ale najwyraźniej nie był zadowolony. Zamiast tego rozmawiał z dyrektorem szkoły. Wkrótce potem dyrektor szkoły powiedział mi, że nie mogę być w drużynie, dopóki moje oceny się nie poprawią.

Moje oceny więc się szybko poprawiły i wróciłem do drużyny.

*

Reduta Ordona

Gdzieś na początku lat czterdziestych moja mama powiedziała mi, że mój ojciec zapamiętał ten wiersz jako mały chłopiec i wyrecytował go dla przyjaciół i gości rodziny. To zrobiło na mnie wielkie wrażenie. Chciałem być taki, jak mój ojciec, więc również nauczyłem się tego wiersza na pamięć i pamiętam go do dziś. Mam mgliste wspomnienie, że recytowałem je również dla jakiegoś gościa lub przyjaciół rodziny.

*

1948-1952. Przykład planowania.

Mój ojciec spędzał dużo czasu pracując przy biurku w domu. Kiedyś zapytałem go, jak zaplanował swoją następną lekcję. Spojrzał na mnie i po prostu powiedział: *Mam zaplanowany cały rok z góry. Teraz po prostu przeglądam swój plan przed każdą lekcją, a potem idę do klasy i uczę.* To był doskonały przykład planowania, próbowałem później zrobić to samo, czasami mi się udawało.

*

1949-1950. Nauczanie języka rosyjskiego.

W Wellesley College jednym z problemów, jakie mieli jego uczniowie, była prawidłowa wymowa rosyjskich słów. Problem ten jest wspólny dla uczniów języków obcych. Aby nie tracić zbyt wiele czasu w klasie, mój ojciec kupił magnetofon, żeby uczniowie mogli usłyszeć, jak wymawiają słowa i naprawić swoje błędy. Być może był to jeden z pierwszych przypadków użycia magnetofonu w celu ułatwienia opanowania języka obcego.

Jako profesor rosyjskiego w *Wellesley College* prenumerował rosyjską gazetę „Prawda”. Następnie wybierał określone artykuły i zlecał swoim bardziej zaawansowanym uczniom przetłumaczenie ich na język angielski. Następnie wysłał tłumaczenie do działu historii, aby porównać rosyjską wersję wiadomości z naszymi wersjami. Spowodowało to ożywioną dyskusję na temat jak przedstawiano współczesne wydarzenia w Rosji, a jak w Ameryce.

*

Wielka radziecka encyklopedia

Ojciec zamówił też Wielką Encyklopedię Radziecką dla biblioteki uniwersyteckiej i ten ogromny, około 40-tomowy zestaw (wszystko było większe i lepsze w Rosji) znalazł się w *College'u*. Stosował tę samą technikę, jego studenci tłumaczyli wybrane artykuły, a następnie różni eksperci uniwersyteccy porównali je z naszymi wersjami. To wywołało podobne dyskusje między różnicami w podawaniu historii w Rosji i na świecie.

*

Taniec na scenie

Wellesley College co roku organizował występ, w którym wykonawcy byli profesorami wydziału. Na jednym z nich zobaczyłem mojego ojca w typowym góralskim stroju, z ciupagą, jak tańczy tradycyjny taniec góralski. To naprawdę mnie zaskoczyło, ponieważ nigdy nie widziałem, żeby mój ojciec robił takie głupie rzeczy.

*

Nauczanie o kulturze polskiej w USA

Jako profesor literatury rosyjskiej w *Ripon College* w Wisconsin zorganizował wieczorny program wykładowo-recitalowy o Chopinie. Mój ojciec był wykładowcą, a Kazimierz Krance pianistą. Program okazał się wielkim sukcesem i był wielokrotnie powtarzany. Mam rękopis jego wykładu i uważam, że był to inspirujący program.

*



Major Wacław Jędrzejewicz, Tokio 1928, fot. arch. T. Jędrzejewicza



Wacław Jędrzejewicz i Masabumi Yamawaki, 1925 r., fot. arch. T. Jędrzejewicza

Japońska kultura

Mój ojciec był polskim *attaché* wojskowym w Japonii od 1925 do 1928 roku i nie tylko nauczył się języka japońskiego, ale także lubił i szanował japońską kulturę ze wszystkimi jej tradycjami, z których niektóre były inspirujące, a niektóre krępujące.

- Żenujące: w małej restauracji, w której on i japoński oficer zatrzymali się, aby zjeść, gdy weszli, na macie spała piękna Japonka, całkiem naga. Kiedy weszli, wstała i zaczęła poprawiać włosy. Japoński oficer nie zwracał na nią uwagi, podczas gdy mój ojciec wciąż się na nią gapił. To sprawiło, że mój ojciec poczuł się jak barbarzyńca.
- Inspirujące: mój ojciec interesował się japońską dyscypliną wojskową. Jak wyjaśnił japoński oficer, jedną z podstawowych zasad armii, którą poznawał każdy żołnierz, było: „Obowiązek jest cięższy od góry, ale śmierć lżejsza od ptasich piór”.
- Przyjemne: Mam jego zdjęcia w tradycyjnych japońskich strojach, grającego na

instrumencie muzycznym koto.

- Prezent pożegnalny od japońskiego sztabu generalnego: japońscy dyplomaci i wojskowi szanowali mojego ojca, a on ich szanował. Jako prezent, podarowali mu kataną, miecz samuraja, zamiast lakierowanych pudełek lub japońskich obrazów, jak to było przyjęte w przypadku dostojników z innych krajów. Był to prawdopodobnie najbardziej pamiętny prezent, jaki kiedykolwiek otrzymał. Zaginął na początku II wojny światowej.

*

Wędrowki i zwiedzanie Japonii

Japonia to bardzo piękny kraj z wieloma górami i szlakami turystycznymi. Mój ojciec bardzo lubił ten kraj, był na szczycie Góry. Fuji oraz w innych znanych miejscach.

Był pod wrażeniem tego, że na niektórych trudnych szlakach spotykało się pomocników, którzy pomagali wędrowcom przejść przez trudne miejsca. Taki asystent był wyposażony w słupek z zakrzywionym oparciem, umieszczony w dolnej części pleców wędrowca, a pomocnik zapewniał wystarczającą ilość pchnięć, aby ułatwić wspinaczkę.

*

Utrzymywanie kontaktu ze znajomymi

Mój ojciec utrzymywał kontakt z wieloma przyjaciółmi. Jednak zaskakujące były listy, które wymienił z japońskim oficerem, przyjacielem z czasów, które spędził w Japonii. Znalazłem kartkę świąteczną, którą dostał prawdopodobnie w latach 60. Po tylu latach nadal utrzymywali kontakt.

Nigdy nie byłem tak pracowity.

*

Jedzenie

Mój ojciec był specjalistą od bigosu. Miał przepis, który wszyscy nasi goście uważali,

że jest znakomity. Mam jego przepis i kilkakrotnie robiąc go podczas imprezy – bigos „cook-off”, organizowanym przez Towarzystwo Polskie w Austin zdobyłem I lub II nagrodę.

Gdy mieszkaliśmy w Wellesley, w Nowym Jorku czy później Cheshire CT, robił też własną cytrynowkę. Tradycją stało się podawanie jej w kryształowej karafce z lodem, czego przestrzegał.

Jego setne urodziny w Cheshire CT były wielkim wydarzeniem i reporter lokalnej gazety zapytał go, co jest przyczyną, że wciąż ma dobry stan zdrowia. Mój ojciec wtedy odpowiedział: *jeden drink dziennie, a dwa, to nawet lepiej.*

*

Odnaczenia wojskowe

Mój ojciec otrzymał 11 odznaczeń wojskowych od wojska polskiego i 15 odznaczeń z innych krajów. Mam jego polskie odznaczenia i kilka innych. Najbardziej dumny był ze swojego Virtuti Militari i miniaturę tego odznaczenia nosił na klapie garnituru, podczas ważnych uroczystości.

*

O powrocie do Polski

Temat powrotu mojego ojca do Polski pojawiał się stosunkowo często i w czasach PRL po prostu odmawiał, mówiąc, że „nie pozwolę komunistycznemu rządowi użyć mnie jako narzędzia propagandowego”.

Później, gdy Lech Wałęsa odwiedził Nowy Jork, a ojciec został awansowany na generała i otrzymał ważny polski paszport, znowu pojawiło się to samo pytanie. Na początku był zaintrygowany tym pomysłem. Potem pojawiły się powody do obaw.

1. Polska opieka medyczna nie była doskonała.
2. Powiedział: Wszyscy moi starzy przyjaciele w Polsce nie żyją. Będę całkiem sam.

Zobacz też:

Wacław Jędrzejewicz w 128. rocznicę swoich urodzin

„Wychowaj dzieci z szacunkiem do przeszłości” - Tomasz Jędrzejewicz o swoim ojcu



Tomasz Jędrzejewicz podczas spotkania 21 marca 2021 roku przez platformę Zoom

TOMASZ JĘDRZEJEWICZ - syn Wacława Jędrzejewicza przedwojennego ministra w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, pomysłodawcy i założyciela Instytutu im. Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, bratanek premiera Janusza Jędrzejewicza, szwagier Andrzeja Becka - syna ministra spraw zagranicznych, Józefa Becka. 21 marca 2021 r. w ramach spotkań Klubu Historyka Austin Polish Society, pod patronatem magazynu „Culture Avenue” odbyło się spotkanie on-line na temat historii nowojorskiego Instytutu Piłsudskiego. Po niezwykle interesującej prelekcji pani dyrektor dr Iwony Korgi na temat historii tej placówki i ludzi z nią związanych, uczestnicy spotkania mieli okazję usłyszeć jak swojego ojca wspomina jego syn, Tomasz.

Tomasz Jędrzejewicz (*Austin, Teksas*)

Moja najbliższa rodzina składała się z mojego ojca Wacława, matki Jadwigi i starszej siostry Ewy.

Ojciec urodził się na Ukrainie, z polskich rodziców. Rodzina przeniosła się do Warszawy, gdy mój ojciec miał 10 lat, w 1903 r. Ukończył Liceum im. Chrzanowskiego w Warszawie w 1913 r. Potem dołączył do strzelców marszałka Józefa Piłsudskiego, rozpoczynając jednocześnie studia rolnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim. Stwierdził, że „fascynowała go idea wykorzystania działań paramilitarnych jako środka do odzyskania niepodległości Polski”. To był początek obszernego szkolenia wojskowego.

Był oficerem Wojska Polskiego w czasie I wojny światowej, od 13 lipca 1917 r. - 19 lipca 1918 r. Dostał się w tym czasie do niewoli niemieckiej.

W listopadzie 1918 roku mój ojciec wstąpił do sekcji wywiadu polskiego Sztabu Generalnego. Zbiegło się to z nominacją Piłsudskiego na Naczelnego Wodza Wojska Polskiego przez Radę Regencyjną. W 1919 roku stał się ekspertem od Rosji radzieckiej, a znajomość języka rosyjskiego, zdobyta podczas wczesnej edukacji na Ukrainie, bardzo mu w tym pomogła. Mój ojciec kontynuował pracę na stanowiskach wojskowych w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Został schwytyany przez Kozaków

podczas misji 14 lipca 1920 r. Na szczęście zdołał uciec podczas marszu więźniów 22 lipca. Udało mu się wrócić do służby, a w listopadzie 1920 i marcu 1921 roku służył jako członek Delegacji Polskiej podczas rozmów pokojowych z Rosją w Rydze. 11 września 1921 r. Marszałek Piłsudski odznaczył mojego ojca krzyżem *Virtuti Militari* (najwyższe polskie odznaczenie za odwagę).



Ppłk. Wacław Jędrzejewicz dekoruje japońskich oficerów krzyżem *Virtuti Militari* za waleczność podczas wojny rosyjsko-japońskiej. Krzyż *Virtuti Militari* otrzymują admirał Keisuke Okodo (z prawej) i premier Giichi Tanaka (z lewej), 1928 r., fot. arch. Tomasza Jędrzejewicza.

W 1925 roku mój ojciec mieszkał w Japonii, gdzie objął stanowisko polskiego *attaché* wojskowego, a później został *Charge d'Affairs*.

Po powrocie do Warszawy w 1928 roku Marszałek Piłsudski skierował mojego ojca do pracy cywilnej. Przez następne pięć lat ojciec był zastępcą dyrektora i dyrektorem Wydziału Konsularnego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a w 1933 r. został przeniesiony do Departamentu Skarbu. W tym samym roku mój stryj, Janusz Jędrzejewicz został premierem Polski. Jego program reformy polskiego szkolnictwa wymagał więcej czasu na realizację, niż wcześniej planowano. Aby przeprowadzić tę reformę, stryj mianował mojego ojca ministrem oświaty. Reforma została wdrożona, a mój ojciec powiedział mi później, że dzięki temu polski system edukacji osiągnął

taki sam wysoki poziom, jak ówczesna Francja.

To właśnie w tych pracowitych latach mój ojciec założył rodzinę. Moja mama Jadwiga Puławska uzyskała dyplom lekarza dentysty, ale od 1915 r. służyła w Polskiej Organizacji Wojskowej pod pseudonimem Giga. Brała udział w akcjach zbrojnych przeciwko Niemcom i była tajnym kurierem w różnych operacjach szpiegowskich przeciwko Niemcom i Rosjanom. Aresztowana przez Niemców i oskarżona o szpiegostwo, podczas przesłuchań nic nie ujawniła. Za zasługi została odznaczona Krzyżem Niepodległości z Mieczami i dwukrotnie Krzyżem Walecznych.

Mój ojciec i mama pobrali się w 1931 roku, moja siostra Ewa urodziła się w 1932 roku, a ja w 1934 roku.

Po śmierci Piłsudskiego mój ojciec wycofał się z aktywnego życia politycznego. Pełnił funkcję sekretarza generalnego Komitetu Krzyża i Medalu Niepodległości, a także nadzorował polską wystawę podczas Światowej Wystawy w Paryżu w 1937 roku (prekursor dzisiejszych Światowych Targów). Pawilon Polski został nagrodzony Złotym Medalem.

Ojciec zajmował się też nadzorowaniem budowy naszego domu, współpracą z organizacjami kombatantów i pisaniem wspomnień ze służby wojskowej.

1 września Niemcy napadły na Polskę, a 17 września Związek Radziecki zaatakował nasz kraj od wschodu. Mój ojciec starał się, aby go powołano ponownie do czynnej służby, ale 5 września rząd opuścił Warszawę, więc on wyjechał wraz z rządem. Tata załatwił, abyśmy ja, moja siostra, mama i nasza niania pojechali do majątku bliskiego przyjaciela pod Wilnem. To pożegnanie było początkiem separacji rodzinnej, która trwała do 1947 roku. Mój ojciec brał udział w ewakuacji polskiego Funduszu Obrony Narodowej, który dostarczył do Francji. Sam następnie przedostał się do Anglii.

Moja mama, siostra i ja osiedliliśmy się początkowo w Orwidowie koło Wilna w dość prymitywnych warunkach. Po 17 września znaleźliśmy się pod okupacją sowiecką. Moja mama nie wiedziała, gdzie jest mój ojciec, ale pisała listy do przyjaciół w różnych miastach i różnych ambasadach, mając nadzieję, że niektórzy z nich mogą zlokalizować mojego ojca. Ostatecznie w grudniu nawiązali kontakt, ale na poczcie wojennej nie można było polegać, bo tylko około jedna trzecia listów dotarła do nas

lub do mojego ojca.

Warunki w Orwidowie były wyjątkowo trudne i moja mama w końcu znalazła pokój w klasztorze w Wilnie, gdzie cała nasza czwórka mogła się tam przenieść. W czerwcu 1941 r. Niemcy zaatakowali Związek Radziecki i znaleźliśmy się tym razem pod okupacją niemiecką. Niestety wtedy ustała też wszelka komunikacja z moim ojcem.

Zanim Niemcy wkroczyli do Wilna, Sowieci systematycznie deportowali Polaków na Syberię lub do innych wschodnich prowincji, a my byliśmy spakowani i gotowi na wywózkę. Wtedy przyszedł do nas funkcjonariusz NKWD, poprosił o dokumenty, sprawdził listę i powiedział, że nie ma nas na liście. Mieliśmy ogromne szczęście, ponieważ bardzo duży procent deportowanych przeżył nie dłużej niż rok.

Po wejściu Niemców przenieśliśmy się do małego miasteczka Wasiliszki. Moja mama dzieliła gabinet dentystyczny z dentystką żydowskiego pochodzenia, której pozwolono wykonywać zawód, ale musiała codziennie wracać do getta. Moja matka dzięki tej pracy mogła mieć jakiś dochód. Niemniej jednak oznaki wojny i brutalnej okupacji były codziennie widoczne. Pewnego dnia Niemcy (*Einsatzgruppen*) wjechali na wiejski plac, zebrali wszystkich Żydów z getta, wyprowadzili ich na cmentarz żydowski i zamordowali. Następnego dnia wyszli i udali się do innej wioski. Żydowska dentystka nie pojawiła się już więcej w gabinecie.

Matka w maju 1944 r. postanowiła wrócić do Warszawy. Przenieśliśmy się do mieszkania jej siostry na Mokotowie. Mam żywe wspomnienia z wydarzeń z 1 sierpnia 1944 r. O godzinie 17:00 żołnierze Armii Krajowej przemieszczali się szybko ulicą wzdłuż ścian budynków, a gdy doszli do skrzyżowania, dowódca wskazał budynek naprzeciw i wszyscy żołnierze pobiegli w tym kierunku. Padły strzały. To był początek Powstania Warszawskiego. Walki toczyły się w całym mieście. Pamiętam w następnych dniach wspinaczkę na dach naszego budynku, a kiedy się rozglądałem, wszędzie, gdzie spojrzałem, widziałem płomienie.

Nasza dzielnica została wkrótce odbita przez Niemców i pewnego ranka wysiedlono nas i kazano nam podążać za strażnikami stacjonującymi na ulicach. Szliśmy i szliśmy godzinami. Po południu mama, która mówiła dobrze po niemiecku, zatrzymała się i poprosiła niemieckich strażników, czy moglibyśmy trochę odpocząć. Żołnierz kazał jej iść w stronę lasu, bo następny patrol był patrolem SS, który

wysyłał ludzi do obozów koncentracyjnych. Odeszliśmy więc zgodnie z instrukcją, zatrzymując się na farmach lub w stodołach, gdzie tylko mogliśmy.



Podpisanie Konstytucji przez prezydenta RP Ignacego Mościckiego w Sali Rycerskiej na Zamku Królewskim. Trzeci od prawej - Wacław Jędrzejewicz - minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego. Widoczni m.in. premier Walery Sławek, minister spraw wewnętrznych Marian Zyndram Kościałkowski, szef Gabinetu Wojskowego Prezydenta RP pułkownik Jan Głogowski, szef Kancelarii Cywilnej Prezydenta RP Stanisław Świeżawski, wicemarszałek sejmu Stanisław Car, marszałek sejmu Kazimierz Świtalski, marszałek senatu Władysław Raczkiewicz, szef Protokołu Dyplomatycznego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Karol Romer (na prawo za W. Raczkiewiczem), minister komunikacji Michał Butkiewicz, minister poczt i telegrafów Emil Kaliński, minister przemysłu i handlu Henryk Floyar-Rajchman (2. z lewej), minister opieki społecznej i ochrony pracy Jerzy Paciorkowski, minister rolnictwa i reform rolnych Juliusz Poniatowski,, kapelan prezydenta RP ks. prałat Jan Humpola (stoi w głębi za prezydentem), adiutant prezydenta RP kpt. Józef Hartman (w głębi, na prawo za K. Romerem), fot. wikimedia commons

Po około dwóch miesiącach znaleźliśmy się w Radomiu, gdzie moja mama znów mogła prowadzić praktykę dentystyczną. Mieszkaliśmy tam do końca wojny. Mama ponownie nawiązała korespondencję z ojcem. Nie znam szczegółów na temat tego, jak moi rodzice się odnaleźli, poza tym, że szukali się przez znajomych.

Dowiedzieliśmy się, że mój ojciec opuścił Anglię w 1941 roku i przyjechał do Nowego Jorku. Pracował na fermie kurczaków, a następnie w fabryce amunicji na Manhattanie. Zaraz po przyjeździe podjął współpracę z „Nowym Światem” (nowojorską gazetą codzienną), a później pisał do kilku innych polskich dzienników i tygodników. Udało mu się nawiązać kontakt z przyjaciółmi ze służby w Polsce przed II wojną światową, którzy również wyemigrowali do USA. Aktywnie działał w Komitecie Narodowym Amerykanów Polskiego Pochodzenia (KNAPP), który powstał w 1942 roku.

Na drugim zjeździe KNAPP, z inicjatywy mojego ojca, zdecydowano o utworzeniu Instytutu Piłsudskiego w Ameryce w celu studiowania najnowszej historii Polski. Mój ojciec został jego pierwszym dyrektorem.

W międzyczasie ojciec pracował nad zorganizowaniem przyjazdu mojej matki, siostry i mnie do Stanów Zjednoczonych w charakterze przesiedleńców (DP). Moja mama musiała nas wydostać z Polski będącej pod kontrolą komunistów. Prawnie nie było to dla nas możliwe. Mama wynajęła przewodnika, który przeprowadził nas przez granicę do Czechosłowacji. Stamtąd planowaliśmy udać się do Wiednia, który był częścią wolnego świata. Niestety płatny przewodnik wydał nas na granicy. Byliśmy uwięzieni przez dwa tygodnie, a potem musieliśmy wrócić do Radomia.

Moja mama wpadła wtedy na pomysł, żebyśmy pojechali pociągiem do Niemiec, udając Niemców - repatriantów, odesłanych przez polski rząd. Ten plan, choć nie był pozbawiony ryzyka, ostatecznie zakończył się sukcesem. Mieszkaliśmy w północno-zachodniej części Niemiec, we wspólnocie polskich przesiedleńców, a w tym czasie trwały przygotowania do naszego wyjazdu do Ameryki.

Płynęliśmy statkiem SS Marine Perch, który dotarł do Nowego Jorku 22 kwietnia 1947 roku. Na molo czekał na nas człowiek, którego wydawało mi się, że mogę rozpoznać. Kiedy ostatni raz go widziałam, miałam zaledwie 5 lat, więc czekałam, aż moja siostra Ewa zacznie do niego biec, wtedy się upewnię, że ten człowiek jest

moim ojcem.

Mieszkaliśmy w Nowym Jorku. Ja i Ewa poszliśmy do szkoły i niewiele mieliśmy okazji, żeby mówić po polsku. Ojciec zajęty był pracą w Instytucie Piłsudskiego, pisał wiele artykułów i książek historycznych. W 1948 r. *Wellesley College* zaproponowało mu pozycję profesora języka i literatury rosyjskiej. Przeprowadziliśmy się wtedy do Wellesley. Skończyłem tam gimnazjum, a potem poszedłem na *Northeastern University*, który skończyłem w 1958 r.

Przez 10 lat w Wellesley nareszcie mogłem poznać mojego ojca. Interesował się moją nauką i pracą, a ja zacząłem się interesować historią Polski oraz poznawać jego rolę w budowaniu niepodległego kraju. Przekonałem się też, że to co moja mama opowiadała o moim ojcu było prawdą. Ale najważniejsze dla mnie było poznać jego charakter. To był człowiek który rozumiał, że prawda i precyzja w pracy są najważniejszymi rzeczami w życiu.



Rodzina Jędrzejewiczów, 100-lecie urodzin Wacława Jędrzejewicza (pierwszy z prawej). Od lewej: Tomasz Jędrzejewicz i synowie – Marek, Tomek, Stefan, fot. arch. Tomasza Jędrzejewicza

Co było dalej? Ukończyłem Northeastern University, Boston, MS z tytułem licencjata w dziedzinie elektrotechniki w 1958 r. Przez kilka lat pracowałem jako inżynier, aż w

końcu otrzymałem stanowisko Dyrektora Programów Technicznych w firmie *Acuson* w Mountain View w Kalifornii, gdzie pracowałem przez 18 lat. W 2002 roku moja żona Kathy i ja zdecydowaliśmy się przejść na emeryturę, przenieśliśmy się wtedy do Austin w Teksasie. Jeszcze przez jakiś czas obydwójce pracowaliśmy jako konsultanci dla kilku firm zajmujących się obrazowaniem medycznym. Obecnie już nie pracujemy.

Moja siostra Ewa i jej mąż Andrzej Beck mieszkali w Connecticut, podczas gdy ja i Kathy mieszkaliśmy w Kalifornii. Kathy jest Amerykanką, więc nasze dzieci nie miały okazji rozmawiać po polsku. Ewa i Andrzej zdecydowali się nie uczyć swoich córek angielskiego, ponieważ uważali, że po rozpoczęciu edukacji szkolnej bardzo szybko same nauczą się tego języka. Dzięki temu ich córki są dwujęzyczne, podczas gdy język polski moich synów ograniczał się do bardzo niewielu słów lub wyrażeń. Mieszkając daleko od siebie, nie mieliśmy zbyt wielu okazji do interakcji, ale podczas wszystkich naszych wizyt dużo rozmawialiśmy na temat polskiej historii i wspominaliśmy nasze życie w czasie II wojny światowej.

Teraz, po latach, postanowiłem spisać swoje wspomnienia przede wszystkim dla moich dzieci, aby mogły zapoznać się z latami okupacji niemieckiej i rosyjskiej, a z naszymi próbami ucieczki z komunistycznej Polski i połączenia się z ojcem. Chciałbym im przekazać to co ważne, szacunek do przeszłości i polskiej tradycji.

Na zakończenie dzielę się fragmentem listu, który mój ojciec napisał do mojej matki 6 marca 1941 roku, zanim opuścił Anglię. Rodzice nie mieli wtedy ze sobą komunikacji, więc nie wiem, czy moja mama kiedykolwiek otrzymała ten list. Znalazłem go w korespondencji mojego ojca po jego śmierci. Myślę, że musiał chcieć jej powiedzieć te ważne rzeczy, ponieważ podróż, którą miał odbyć, czyli przekroczenie Atlantyku, była bardzo ryzykowna, gdyż Niemcy torpedowali pływące do Ameryki statki. Ten fragment ilustruje osobowość mojego ojca lepiej niż jakiegokolwiek słowa, które mógłbym o nim powiedzieć:

Trudno mi opisać jak bardzo tęsknie do ciebie, do Ewy i Tomka. Przecież wy, po Polsce, jesteście mi wszystkim na świecie.

Wychowaj dobrze dzieci, bardzo współcześnie, a z szacunkiem dla przeszłości i tradycji. Niech rozumieją i umieją odczuć nasze piękne życie dla Polski, Twoje i

moje. Niech to będzie dla nich istotną wartością dla wydobycia z nich siły charakteru, wiary, odwagi, oddania sprawie.

Niech umieją obronić nazwisko przed wszelkimi na nie atakami.

Zobacz też:

Wacław Jędrzejewicz w 128. rocznicę swoich urodzin

**Wacław Jędrzejewicz w 128.
rocznicę swoich urodzin**



Wacław Jędrzejewicz, minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego przy biurku, Warszawa, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Krzysztof Langowski (*Nowy Jork*)

Spoglądając z obecnej perspektywy na dzieje polskiej historiografii na uchodźstwie po zakończeniu działań wojennych w 1945 r. nie sposób ją sobie wyobrazić bez znajdujących się w niej znaczących osobowości. Te właśnie indywidualności rozrzucone po świecie, swoją działalnością społeczną, pracą pisarską i jednocześnie troską nad pamiątkami i archiwaliami związanymi z naszą przeszłością dawały realne świadectwo istnienia poza Polską wolnej myśli w dziedzinie historii. Podejmując się obecnie próby wskazania kilku ważniejszych postaci, które podjęły skuteczną pracę w emigracyjnym środowisku bez najmniejszego wahania możemy wskazać przede wszystkim na Wacława Jędrzejewicza, Władysława Pobóg-Malinowskiego i Oskara Haleckiego.

Wacław Jędrzejewicz urodził się 29 stycznia 1893 r. w małej osadzie fabrycznej

w Spiczynkach na Ukrainie. Jest przez nas zapamiętamy, jako osoba która była przede wszystkim działaczem niepodległościowym, żołnierzem, politykiem, dyplomata i jednym z czołowych piłsudczyków zarówno w kraju jak też i później od 1939 r. na uchodźstwie. Wybuch drugiej wojny światowej zamknął mu drogę do kontynuowania kariery prowadzonej w okresie II Rzeczypospolitej i jednocześnie wymusił po zajęciu kraju w 1945 przez wojska sowieckie i utworzeniu tam komunistycznego systemu do pozostania na stałe na emigracji.



Uroczystość zaprzysiężenia gabinetu premiera Leona Kozłowskiego w dniu 15 maja 1934 r. Zdjęcie z członkami gabinetu w Salonie Kolumnowym na Zamku Królewskim. Siedzą od lewej: minister spraw wewnętrznych Bronisław Pieracki, premier Leon Kozłowski, prezydent RP Ignacy Mościcki, minister spraw wojskowych Józef Piłsudski, minister spraw zagranicznych Józef Beck. Stoją od lewej: minister opieki społecznej Jerzy Paciorkowski, minister poczty i telegrafów Emil Kaliński, minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego Waclaw Jędrzejewicz, minister rolnictwa Bronisław Nakoniecznikow-Klukowski, minister skarbu Władysław

Zawadzki, minister komunikacji Michał Butkiewicz, minister przemysłu i handlu Henryk Floyar-Rajchman, minister sprawiedliwości Czesław Michałowski, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Dzięki działalności społecznej podjętej wspólnie przez Jędrzejewicza z Ignacym Matuszewskim, Henrykiem Floyarem-Rajchmanem i gronem działaczy niepodległościowych, którzy mieszkali w Stanach Zjednoczonych, wśród których byli m.in. Maksymilian Węgrzynek z Nowego Jorku, Franciszek Januszewski z Detroit oraz pochodzący z tego samego miasta Lucjusz Apolinary Kupferwasser i Zygmunt Dodatko, został utworzony w pierwszej kolejności w czerwcu 1942 r. Komitet Narodowy Amerykanów Polskiego Pochodzenia, którego działalność była formalnie określana jako „bezpartyjna amerykańska organizacja ideowa”. Komitet stawiał sobie od początku za cel podejmowanie działań *stricte* politycznych, które miały zapewnić obronę polskich interesów na terenie Stanów Zjednoczonych. Rok później na kolejnym zjeździe tej organizacji w dniu 4 lipca 1943 r. został powołany Instytut Józefa Piłsudskiego w Ameryce. Jędrzejewicz po utworzeniu IJPA został jego pierwszym dyrektorem i w rzeczywistości to na jego barkach spoczywała od początku organizacja, administracja, pozyskiwanie niezbędnych do działalności funduszy oraz gromadzenie znajdujących się w środowisku polonijnym dokumentów archiwalnych i książek.

Od początku istnienia Instytutu noszono się także z zamiarem publikowania książek i opracowań poświęconych historii najnowszej naszego kraju. Jędrzejewicz wspominając swoje początki działalności w Instytucie pisał do Janusza Gaładyka m.in.

objąłem pracę w Amerykańskim Instytucie Józefa Piłsudskiego poświęconemu badaniu najnowszej historii Polski. Wskrzესiliśmy tu tę naszą instytucję i zaczniemy pracę, kontynuując robotę warszawską. Zbieram dokumenty, przygotowuję bibliografię o Józefie Piłsudskim i Polsce z bibliotek amerykańskich, przygotowuje wydanie wyboru pism Komendanta itp. Przypuszczamy, że instytucja ta stanie na nogi i pójdzie. Polonia przyczynia się bardzo do tej inicjatywy.

Od początku swojej działalności Jędrzejewicz był przeświadczony o ważności roli jaką niosła ze sobą pamięć historyczna dla istnienia narodowej wspólnoty. Dlatego też kładł wyraźny nacisk na to stwierdzenie, które w tym okresie przede wszystkim

wskazywało jednak na sytuację w której znaleźli się po zakończeniu działań wojennych zarówno Polska jak też i sami Polacy. Wyraźnie myśl ta wybrzmiewa w niepodpisanym tekście, który w rzeczywistości jest jednak niewątpliwie jego autorstwa - zamieszczonym w „Sprawozdaniu z działalności Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce za rok 1945”. Czytamy w nim m.in.

Świadomość historyczna jest warunkiem istnienia narodu. Tam, gdzie świadomość w związku z minionymi pokoleniami przestaje istnieć, tam, gdzie przestaje istnieć poczucie ciągłości życia narodowego - tam przestaje istnieć sam naród. Staje się wówczas nawozem dla tych organizmów narodowych, które własną świadomość historyczną zachowały. Naród, który zatraci świadomość ciągłości historycznej, albo, który pozwoli by ją w nim zniszczono - taki naród musi roztopić się wśród zdobywców, oddać swoje siły innym i wreszcie zginąć.

Uwagi te odzwierciedlały w pełni poglądy działaczy Instytutu, że podstawowym celem zarówno hitlerowskich Niemiec, jak też i bolszewickiej Rosji było właśnie zniszczenie narodowej świadomości narodu polskiego. Jak się okazało, że zarówno Jędrzejewicz, Matuszewski jak też i Rajchman działający w środowisku skupionych wokół Instytutu piłsudczyków, bardzo wcześnie rozpoznali niebezpieczeństwo jakie niosło ze sobą dla pamięci narodu polskiego pozbawienie go samodzielnego bytu. Dlatego też, według wspomnianych powyżej działaczy, zadaniem kierownictwa Instytutu miało być od początku dążenie do krzewienia prawdy historycznej wśród Polaków zamieszkałych poza opanowanym przez komunistów krajem.



Poświęcenie nagrobka gen. Władysława Bortnowskiego w Amerykańskiej Częstochowie w 1967 r. (Doylestown, PA). Mówi komendant naczelny SWAP Jan Dec. Obok stoi Waław Jędrzejewicz.

W rzeczywistości Jędrzejewicz jako historyk objawił się jednak dopiero już po zakończeniu działań wojennych, kiedy historia stała się jego pasją i której poświęcił resztę swojego długiego i niezwykle interesującego życia. Podjęty przez niego wybór był od początku podyktowany w dużej mierze koniecznością dania świadectwa epoce, w której żył i działał. Z drugiej jednak strony był on także w rzeczywistości nieco przypadkowy, ponieważ wiązał się z podjętą przez niego nieoczekiwanie jesienią 1948 r. karierą akademicką na Uniwersytecie w Wellesley pod Bostonem w stanie Massachusetts. Objął na tej uczelni posadę wykładowcy języka i literatury rosyjskiej. W jednej ze swoich wypowiedzi, której udzielił po latach tak mówił na temat okoliczności w których otrzymał to stanowisko:

Ironia losu albo niezwykłość wypadków właśnie dzięki rosyjskiemu uzyskałem po parudziesięciu latach stanowisko profesora rosyjskiego i literatury rosyjskiej [...] Była to katedra po znakomitym pisarzu Nabokowie. Pamiętam, że miałem poważne

wątpliwości czy mogę przyjąć tę posadę jako Polak – z moją przeszłością. Zresztą sympatyczna była rozmowa z prezydentem Wellesley. Pewna kobieta mnie zapytała – „Pan jest Polakiem i miał Pan bardzo określoną karierę w Polsce, a ja znam stosunek Polaków do Rosji. Czy Pan jako Polak będzie mógł wykładać język i literaturę rosyjską obiektywnie? Ma Pan na pewno ogólnie antyrosyjskie nastawienie?” – Wytłumaczyłem jej, iż to nie będzie miało wpływu, ponieważ bardzo lubię język rosyjski i znam go na tyle dobrze, jak i literaturę rosyjską, którą cenię i lubię, że moim zdaniem wszystko będzie w porządku. I po pierwszym roku byłem, jak to mówi się wśród studentów, „a very prominent profesor”.

Wspominając z kolei swoje pierwsze zajęcia ze studentami w wywiadzie, którego udzielił Renacie Gorczyńskiej stwierdził m.in.:

Jedną z największych emocji w moim życiu było nie dostanie się do niewoli bolszewickiej, ale pierwszy wykład w Wellesley College. Wstęp do literatury rosyjskiej. Byłem dobrze przygotowany, siedziałem w ślicznym gabinecie i czekałem. I nagle napadł mnie strach. Co to będzie, za chwilę mam mówić, kompromitacja całkowita, bo to po angielsku, a ja nie potrafię tego zrobić. Nigdy nie miałem takiego uczucia strachu [...] Ale kiedy wszedłem na katedrę nagle wszystko przeszło.

Dziesięć lat później po opuszczeniu Wellesley, Jędrzejewicz został zatrudniony w latach 1958-1963 na stanowisku kierownika studiów sławistycznych w Ripon College w stanie Wisconsin. Zajmował się tam wykładaniem języka rosyjskiego, literatury słowiańskiej a także historii Europy Środkowo-Wschodniej. Kończąc pracę na uczelni i przechodząc jednocześnie na emeryturę pisał na ten temat w liście do Mariana Kukiela:

Zbliża się kres moich zajęć profesorskich i oto od 1 czerwca opuszczam już, chyba na stałe, wyższe szkolnictwo amerykańskie, w którym pracowałem przez ostatnie 15 lat. Oczywiście jest to ironia losu, żeby były polski minister oświaty uczył Amerykanów języka i literatury rosyjskiej. Ale tak jest i nie żałuję tych lat spędzonych z młodzieżą amerykańską i setkami moich uczniów. Zwłaszcza ostatnie pięć lat mojej pracy w Ripon College, gdzie poza rusycystyką, wykładałem to, co

mnie naprawdę interesuje: historię Europy Środkowo-Wschodniej, historię Rosji i zagadnienia międzynarodowe na Dalekim Wschodzie, dały mi możliwość przedstawienia tym słuchaczom tych spraw we właściwym, zdaniem moim, i prawdziwym świetle. Wielu z nich będzie pamiętało, co to jest „linia Curzona”, jakie było znaczenie bitwy warszawskiej z 1920 r., albo konsekwencje Jałty.



W siedzibie Instytutu w dniu 25 maja 1982 r. Od lewej strony Magdalena Kapuścińska, Wacław Jędrzejewicz i Monika Thiem.



Przewód doktorski Pawła Sieranta w IJPA w dniu 8 czerwca 1985 r. Od lewej strony stoją: Lucjan Dobroszycki, Waław Jędrzejewicz i Ludwik Teclaff.

Po odejściu z pracy na uczelni powrócił Jędrzejewicz do czynnej działalności w Instytucie Józefa Piłsudskiego, gdzie obejmował po kolei stanowiska dyrektora, wiceprezesa i prezesa. W rozmowie przeprowadzonej przez M. Kołodzieja z Jędrzejewiczem dla „Radia Wolna Europa” w marcu 1983 stwierdził on na temat swojej pracy w Instytucie, iż:

Jestem starym żołnierzem spod znaku Piłsudskiego, z I-ej Brygady. A tam mawialiśmy: „że śmierci na nas nie ma”. Na pewno można zastosować to do placówki, którą przed trzydziestu laty stworzyliśmy, z dala od Ojczyzny, lecz ku jej chwale.

W dorobku naukowym Jędrzejewicza znalazło się około 300 publikacji, w tym

kilkanaście książek. W swojej twórczości zajmował się badaniem dziejów najnowszych od przełomu XIX i XX wieku, przez okres II Rzeczypospolitej, kwestiami związanymi ze sprawą polską podczas II wojny światowej, a także z dziejami powojennej emigracji politycznej. Na przeszłość dziejową spoglądał przede wszystkim z punktu widzenia wielkich ludzi. Dlatego też fascynowała go bardzo postać Józefa Piłsudskiego z którym zresztą współpracował przez lata jako jego podkomendny w Polskiej Organizacji Wojskowej, I Brygadzie Legionów Polskich, pracując w Sztabie Generalnym WP, a na końcu na stanowiskach rządowych.

Jego pierwszą pracą w dziedzinie historii był opublikowany w 1946 r. pierwszy tom „Poland In the British Parliament 1939-1945”, w którym zamieścił stenogramy wystąpień polityków brytyjskich wygłoszonych w obydwu izbach parlamentu, uzupełnionych dodatkowo przez niego wstępem i komentarzami. W kolejnych latach ukazały się drukiem pozostałe tomy - w 1959 tom 2 i w 1962 r. tom 3. W swoich badaniach poświęconych Piłsudskiemu najważniejszą publikacją jest dwutomowa „Kronika życia Józefa Piłsudskiego 1867-1935”, wydana w Londynie w 1977 r. Następnymi publikacjami „Józef Piłsudski 1867-1935. Życiorys” opublikowana w 1982 r., która została także wydana w tym samym roku w języku angielskim z przedmową autorstwa Zbigniewa Brzezińskiego „Pilsudski - A Life for Poland”, a także w tłumaczeniu francuskim w 1986 r. Ostatnią pozycją, którą należy wymienić w tym miejscu jest zapis nagranych na taśmach magnetofonowych treści wykładów Jędrzejewicza, które zostały wygłoszone przez niego dla dużej grupy wolontariuszy udzielających się w tej placówce archiwalno-naukowej w pomieszczeniach Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, który mieścił się w tym czasie przy 381 Park Avenue South na Manhattanie. Teksty, które wychodziły spod jego pióra ukazywały się m.in. w „Niepodległości”, paryskiej „Kulturze”, i „Zeszytach Historycznych”, „Slavic Review” i „Journal of Central European Affairs”. Liczne teksty były drukowane na łamach polonijnej prasy „Nowy Świat”, „Dziennik Polski”, „Nowy Dziennik” oraz w wychodzących w Londynie „Wiadomościach” i „Orle Białym”.



Uroczystość w setną rocznicę urodzin Wacława Jędrzejewicza w Cheshire w Connecticut 31 stycznia 1993 r. Wręczenie szabli Wacławowi Jędrzejewiczowi przez dyrektora Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku Janusza Ciska. W środku stoi prezes Instytutu Stanisław Jordanowski



Uroczystość w setną rocznicę urodzin Wacława Jędrzejewicza w Cheshire w Connecticut w dniu 31 stycznia 1993 r. Dwaj najstarsi wiekiem żołnierze z 5 pułku piechoty I Brygady Legionów Walter Maźnicki i Wacław Jędrzejewicz

Wacław Jędrzejewicz zmarł w dniu 30 listopada 1993 r. w Cheshire w Connecticut, w kilka miesięcy po swoich setnych urodzinach.

*

Krzysztof Langowski, *„O honor i sztandar, który nas skupia”*. Instytut Józefa Piłsudskiego w Ameryce 1943-2013, Warszawa 2018.

Artykuł ukazał się w „Kurierze Plus” w Nowym Jorku, 9 stycznia 2021 r.

Dom na wzgórzu



Kira Banasińska, ok. 1930 r., fot. (w:) Małgorzata Reinhard-Chlanda, Kira Banasińska - Seventy Years in India. From Diplomacy to Kaybee, Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie i Polski Instytut Studiów nad Sztuką Świata w Warszawie

Ryszard Sawicki (*Namysłów*)

Wzgórze nad pałacem gubernatora nie było wysokie, lecz rozciągał się stamtąd rozległy widok Hydarabadu. Widać też było całe jezioro leżące tuż za miastem. Kiedy ściany niskich domostw w ubogich przedmieściach sąsiadujących z jeziorem oświetlało jaskrawe indyjskie słońce, tafla jeziora ciemniała jak głębokie zwierciadło, w którym odbijały się chmury, lub jaśniała, zależnie od tego skąd padały promienie słońca. Lśniaca powierzchnia wody kontrastowała z matowymi ścianami zabudowań. Także i korony drzew, rosnących przy niektórych ulicach, w ogrodach i na skwerach, były matowe, bo przed nadejściem monsunu pokrywał je szaro-brunatny pył. W

okresie, gdy przychodziła pora rozrostu wodnych lilii, jezioro zniknęło niemal zupełnie pod liśćmi. Jednego dnia zauważyć można było tworzące się na powierzchni wyspy, na drugi dzień jeziora już nie było widać, przyrost roślin był błyskawiczny.

Widok Hydarabadu ze wzgórza nad miastem zapamiętałem wyraźnie, chociaż nie rozpoznałbym żadnych ulic ani placów. Pamiętam też dom na szczycie wzgórza, w którym byłem gościem. Mieszkały w nim dwie stare kobiety, jedna z córek byłego nizama Hydarabadu i jej przyjaciółka, **Kira Ćwirko-Godycka**, po mężu **Banasińska**, ciotka mojej znajomej **Aleksandry Dolly Korewy**. Dolly przyjechała do Indii wcześniej niż ja, spotkaliśmy się na wiosnę 1977 roku u znajomych mego stryja, państwa Dowgiałłów, którzy mieszkali wtedy w New Delhi. Mieszkając dość długo u swej ciotki, Dolly przeglądała stare archiwum z okresu drugiej wojny, robiła notatki by potem, po powrocie do Europy napisać artykuł. W drodze powrotnej do Warszawy została jednak okradziona jeszcze w Pakistanie, podczas zamieszek jakie wybuchły po śmierci Ali Bhutto. Razem z bagażem i wszystkimi rzeczami osobistymi, przepadły jej notatki i moje filmy ze zdjęciami ze Wschodniej Turcji, Iranu, Afganistanu, Indii i Pakistanu, które dałem Dolly z prośbą o wywołanie w Europie (ja nie zamierzałem wracać do Polski, chciałem zostać dłużej w Azji, potem wybierałem się do Australii). Artykuł nie został nigdy napisany.

Od mojego pobytu w willi nad pałacem gubernatora upłynęło ponad dwadzieścia lat. Niedawno we Wrocławiu oglądałem u Julity Korewy zdjęcia Pani Kiry zarówno z okresu indyjskiego jak i wcześniejszych lat spędzonych przez nią i jej męża w Japonii. Czytałem też kilka listów, które napisała do rodziny. Zobaczyłem jeszcze raz, wywołaną z pamięci, postać starszej pani jak machała na pożegnanie ręką z podjazdu przed domem, kiedy w drodze na stację kolejową zjeżdżałem starym samochodem prowadzonym przez jej kierowcę po nieco wyboistej, nie wybrukowanej, ani nie pokrytej asfaltem ulicy, prowadzącej w dół do miasta.

Na zdjęciach, które Julita wydobyla z pudełka w swoim wrocławskim mieszkaniu, pani Kira wygląda inaczej niż ją zapamiętałem. Jest młodą, piękną kobietą cieszącą się pełnią życia. Pojawia się przy chińskiej bramie słońca, siedzi w wygodnym płóciennym fotelu ustawionym na pokładzie jachtu płynącego po azjatyckiej zatoce. Z mężem-dyplomata siedzą obydwoje w japońskim ogrodzie. Zdjęcia nie są opisane dokładnie, nie wiadomo więc w jakim parku ani na jakim jachcie zostały zrobione. Z

listów do rodziny nie można wyłowić ani dat, ani nazw. Przeglądając wspomnienia przyjaciela rodziny Banasińskich, **Wacława Jędrzejewicza**, nestora polskiej irredenty, dyplomaty i badacza najnowszej historii Polski, też nie zdołałem znaleźć dokładniejszych danych. Za to znalazłem na kartach jego wspomnień wiele ciepłych słów o pani Kirze, które opisują ją taką jaka była w czasie pobytu w Japonii.

W rozdziale zatytułowanym „Pierwsze miesiące” (chodzi o początki pracy w polskim poselstwie w Tokyo), Jędrzejewicz wymienia pracowników poselstwa, także doktora Eugeniusza Banasińskiego, który „prowadził sprawy finansowe i konsularne poselstwa oraz opracowywał zagadnienia ekonomiczne”. Mówi, że doktor Banasiński „był żonaty z Kirą Ćwirko-Godycką, którą poznał w Harbinie, gdzie zamieszkiwała jej matka”, i że „mieli córkę Lilkę”. O samym Eugeniuszu wspomina iż „był to człowiek bardzo inteligentny, miły i łatwy w obejściu, dobrze znający teren”. Jędrzejewicz ułatwił Banasińskiemu wejście do regularnej służby zagranicznej.

W rozdziale zatytułowanym „Mandżuria”, Jędrzejewicz napisał, że Kirę Banasińską poznał jeszcze w Harbinie, gdzie

obie z matką zorganizowały bardzo piękne przyjęcie” dla niego, jako podróżującego polskiego dyplomaty. Rozdział pod tytułem „Jesień - zima 1925 - 1926” zaczyna się od zdania: „po parotygodniowym pobycie w Harbinie wyjechaliśmy z panią Banasińską i Lilką kolejką do Dairenu, po czym statkiem do Kobe i znowu kolejką do Tokyo, gdzie oczekiwało mnie wiele pracy przy zorganizowaniu biura attaszatu.

Rozdział zatytułowany „Kierownictwo poselstwa w Tokyo” zawiera znów kilka zdań o pani Kirze w związku z napadem na biuro attache wojskowego Sowietów w Pekinie, które przeprowadził marszałek Czang-tso-lin. Zabrano tam stopy rosyjskich dokumentów, a Jędrzejewicz był jedynym cudzoziemcem, którego rząd japoński powiadomił o tym i w wielkiej tajemnicy wręczył fotokopie paruset z nich celem ich przefotografowania dla użytku polskiego sztabu generalnego. Pomagała mu w fotografowaniu dokumentów pani Kira.

Miałem bardzo dobry aparat fotograficzny - pisze Jędrzejewicz - toteż przy pomocy Kiry Banasińskiej przez wiele nocy fotografowaliśmy dokumenty w

poselstwie i niezwłocznie wywoływaliśmy klisze w prowizorycznej ciemni. Było to w lecie, w upalne noce. Bardzo męczyliliśmy się nad tą pracą – dodaje Jędrzejewicz.

W rozdziale o trzęsieniach ziemi, Jędrzejewicz też wspomina Kirę. Któregoś dnia, gdy mieszkał razem z Banasińskimi w Hajama, nad morzem, ich japoński domek zatrzęsł się tak,

że w jednej chwili znaleźliśmy się na zewnątrz, każdy jak stał, a Kira Banasińska, która właśnie brała kąpiel, wyskoczyła z wanny jak ją Bóg stworzył.

Ostatni raz pojawia się pani Kira we wspomnieniach Jędrzejewicza z roku 1928. W związku z odwołaniem Jędrzejewicza do Warszawy, jego następcą, major dyplomowany Henryk Floryan-Rajchman zegnał go na dworcu w Tokyo. „Rajchman i Kira Banasińska odprowadzili mnie do następnej większej stacji”. Nie wiem, czy Jędrzejewicz bywał w czasie wojny i po jej zakończeniu u państwa Banasińskich w Bombaju. Wiem tylko od niego, że pisywali do siebie listy. Odnaleźć je było by dziś trudno. Dlatego listy do rodziny są jednymi z nielicznych dowodów ich barwnego życia. Szkoda, że przez wiele lat pani Kira nie mogła kontaktować się z rodziną w Polsce, może byłoby dziś więcej takich listów jak ten, adresowany do Onufrego Korewy, z datą 20 stycznia 1965 roku.

Kochany Onusiu! Nie zdajesz sobie sprawy jak bardzo ucieszył mnie Twój list. Znalazłam go na podłodze w biurze, gdyż był podsunięty pod drzwi przez listonosza po godzinach pracy i wprost nie mogłam sobie uprzytomnić, że to istotnie list od Ciebie. Tyle lat upłynęło od czasu gdyśmy się widzieli po raz ostatni, tyle zmian i w Waszym życiu i moim. Ciekawa jestem jakimi drogami natrafiliście na mnie – przypuszczać tylko mogę, że przez „Cyriakę”, gdyż żadnej innej prócz mnie dotychczas nie spotkałam. Musimy się znowu zapoznać i przerzucić most przez tę olbrzymią przepaść lat. O ile sobie przypominam, od pewnego czasu Ojciec był z Wami w kontakcie, więc chyba pewne szczegóły z mego życia były dla Was znane – jednakże zacznę od Harbina bo to było bezpośrednio po wyjeździe od Was. W Harbinie wyszłam za mąż, tam urodziła się nasza córka, Lygia Janina. Od dwudziestego szóstego do trzydziestego pierwszego roku byliśmy w Japonii, gdzie mąż mój był kierownikiem Wydziału Konsularnego

przy Poselstwie w Tokio. Stamtąd wróciliśmy do Warszawy i w trzydziestym trzecim roku mąż był mianowany konsulem, później konsulem generalnym na Indie. Lygia skończyła szkołę w Bombaju i mając siedemnaście lat wyszła za mąż za Anglika. Ich często przerzucają z miejsca na miejsce, lecz obecnie są w Londynie. Syn ich, Jocelyn Seweryn wkrótce kończy Cambridge. Jest bardzo przystojny, inteligentny, wesoły i miły. Po polsku nie mówi. W trzydziestym ósmym byłam w Kraju, widziałam wtedy Ojca po raz ostatni. Wiecie zapewne, że umarł w grudniu czterdziestego roku. Dowiedziałam się o tem dopiero po powrocie do Indii po zakończeniu wojny z listu p. Juszkiewiczowej, który dotarł do mnie z kilkuletnim opóźnieniem. Podczas wojny starałam się go odszukać, pisałam przez Szwajcarski Czerwony Krzyż i inne organizacje, lecz wszystko było bezskuteczne. Byliśmy w Indiach do końca czterdziestego czwartego roku. W okresie wojny, jako delegat Polskiego Czerwonego Krzyża na Indie oraz delegat Polskiego Ministerstwa Opieki Społecznej, prowadziłam wszystkie sprawy azylu i osiedli naszych uchodźców w Indiach oraz obozów przejściowych w Karachi, jak również sprawy zaopatrzenia transportów do Afryki i innych krajów, gdzie ich przerzucano. Pod koniec czterdziestego czwartego roku wyjechaliśmy do Londynu gdzie mąż dostał przydział do MSZ, ale już się wszystko kończyło. Dlatego wróciliśmy po roku do Indii, gdzie mieliśmy wielu przyjaciół. Po kilku latach, nie wiem w jaki sposób, wpadłam na pomysł zapoczątkowania warsztatu wyrobów z drzewa dla szkół. Z biegiem lat zaczął się mój warsztat rozwijać, tak, że obecnie mam kompletnie zmechanizowaną fabrykę pomocy szkolnych dla dzieci od dwóch do sześciu lat. Mam przeszło siedemdziesięciu robotników. Fabryka idzie nieźle ze względu na olbrzymi rozwój szkolnictwa w Indiach. Ostatnio moje wyroby znalazły zbyt też w Ameryce. Jednakże prowadzenie tego wszystkiego nie jest rzeczą łatwą odkąd jestem zupełnie sama. Za życia męża, on prowadził biuro, ja fabrykę, lecz po jego śmierci wszystko spadło na mnie. Ani Lygia ani jej mąż ani nawet ich syn nie mają zamiaru tutaj się instalować. Mąż Lygii jest w wojsku i jak na swój wiek w dość wysokiej randze. Ma przed sobą jeszcze dobrych parę lat czynnej służby. Jeśli miałabym określić jednym zdaniem jak żyję, to powiedziałabym, że żyję jak robot. Jestem w pracy od siódmej rano do późnej nocy. Wstaję o szóstej, a wracam do domu dopiero około dziesiątej, szalenie zmęczona. Najczęściej zasypiam w fotelu i dopiero służący budzi mnie do obiadu. Po obiedzie znów coś załatwiam. W ogóle nie rozstaję się z teczką. Różne akta i papierki jeżdżą ze mną stale tam i z

powrotem, aż znajdę dość czasu i sił aby je pozłatwiać. Jestem tak uwięziona sprawami fabryki, że chyba nigdy nie będę mogła wydostać się z Indii. Ponieważ jednak praca ta, a szczególnie jej wyniki dają mi wielką satysfakcję, nie tyle finansową co moralną, dzieci radzą mi abym tu pozostała tak długo aż mi się to wszystko znudzi i wtedy dopiero przerzucić się do Anglii aby na stare lata być gdzieś niedaleko od nich.

Mam tutaj niewielkie mieszkanie w mieście, które odziedziczyłam po matce. Zmarła ona w Bombaju w sześćdziesiątym pierwszym roku. Poza tym mam bardzo przyjemny domek z liści palmowych nad morzem w Juhu. Jadę tam zazwyczaj w sobotę wieczorem i w poniedziałek rano wracam wprost do fabryki. W Juhu niby odpoczywam, lecz to raczej teoretycznie. W praktyce wygląda to całkiem inaczej, gdyż właśnie w niedzielę odwiedzają mnie moi przyjaciele, którzy przyjeżdżają tam aby się wykąpać w morzu i pooddychać świeżym powietrzem. Gospodarstwo w tych moich dwu pied-a terre'ach idzie jakoś samo, bez większego zachodu z mojej strony, gdyż i w Bombaju i w Juhu od wielu lat mam tę samą służbę.

Wszyscy, zarówno wy jak i ja, jesteście mniej więcej w jednym wieku, przypuszczam więc, że mamy te same dolegliwości. Jeśli chodzi o mnie, na ogół czuję się jednak nieźle, ale czasem coś tam zaczyna dolegać. Naturalnie, że z sercem wszystko nie jest w porządku, ale jakoś się trzymam, daję sobie radę ze wszystkim i pracuję za trzech.

Chciałabym bardzo wiedzieć jakie były koleje losów Waszej Rodziny. Wspominasz w liście Tadzów, Kletów, Jadzię... Czy ktokolwiek z nich ma dzieci, wnuków? Napisz koniecznie, czy Ty również masz żonę, dzieci. Proszę wszystkich ode mnie uściskać.

Ściskam Ciebie i całuję serdecznie, Kira.

Ślę też wiele dobrych życzeń na sześćdziesiąty piąty rok dla całej Waszej Rodziny.

List był opatrzony adresem zwrotnym: 12 Gunbow Street, Fort, Bombay 1. Ani zdjęcia domu w forcie ani z Juhu Beach nie dotarły do Julity Korewy do Wrocławia. „Cyriaka” to oficjalne, pełne imię pani Kiry. Zwrot „bezpośrednio po wyjeździe od

Was” dotyczy pobytu pani Kiry w domu dziadka Julity Korewy, Ignacego, który był zarządcą kopalni azbestu i szmaragdów na Uralu albo w domu brata Ignacego w Irkucku, który był inżynierem kolejowym zatrudnianym przy budowie kolei koło Bajkału i kolei transsyberyjskiej. To „ostatnie spotkanie” miało miejsce w 1916 roku.

Na zdjęciu z wnętrza magazynu fabrycznego pani Kira stoi przy półkach wypełnionych drewnianymi klockami, zwierzętami i obrazkami. Rozmawia z jednym ze swych pracowników. Może był to kierownik magazynu, a może dyrektor fabryki, którego pani Kira zatrudniła po usilnych namowach przyjaciela rodziny, przemysłowca i filantropa pochodzenia perskiego o nazwisku Tata (samochody ciężarowe z jego nazwiskiem można i dziś zobaczyć na wszystkich drogach Indii). Była to dla niej trudna decyzja, bo choć nawał pracy męczył, to jednak „dawał satysfakcję moralną”.

Pani Kira skarży się na problemy z fabryką także w liście z 19 grudnia 1974 roku (list był wysłany z Hyderabadu, gdzie zamieszkała po opuszczeniu Bombaju).

Kochany Onusiu!

Parę dni temu dostałam list od Dolly, cóż to za miła niespodzianka. Jak tylko znajdę wolną chwilę - odpiszę. Na razie proszę ją serdecznie uściskać i przekazać jej moje najlepsze życzenia świąteczne. Jestem tak niesamowicie zajęta, że po powrocie do domu nawet do córki nie mam sił napisać. Pięć miesięcy temu zostałam prababką. Mój wnuk Jocelyn był przez pięć lat w Bangkoku i tam się ożenił z Thajką. Właśnie urodził się im syn, któremu dali na imię Thomas. Są teraz w Londynie, a ja już teraz zostałam całkiem sama w Indiach. Żebyś wiedział jakie niesamowite kłopoty mam z fabryką i jak trudno jest pracować w przemyśle wybaczyłbyś mi tak długie milczenie. Ślę moc najserdeczniejszych życzeń noworocznych dla Ciebie, Julity i Twoich najbliższych.

P.S. Przypomniałam sobie, że był tu rok temu profesor Urbański. Czy to jest jakiś krewny Dolly? Jest teraz w Polsce. Gdybyś go spotkał to mógłby opowiedzieć o mnie gdyż był u mnie parę razy na obiedzie. Wrócił również do Warszawy po pięciu latach spędzonych w Hyderabadzie doktor Z. Zieliński. Był tu szefem misji International Labour Organisation. Zgubiłam jego adres lecz mógłbyś go odnaleźć przez biuro adresowe. On i jego żona Janka często bywali u mnie w fabryce.

Ściskam, Kira.

Do natłoku problemów, które wymagały natychmiastowego rozwiązania pani Kira przyzwyczaiła się w okresie wojennym. Organizacja i prowadzenie obozów dla uchodźców były zadaniami trudniejszymi niż prowadzenie fabryki. Osiedla i obozy, które powstały w Karachi, a potem w innych miejscowościach przyjęły wielu uchodźców z Sowieckich łagrów, między innymi czwórkę moich kuzynów. Kobiety i dzieci, które wydostały się z „niehumanitarnej ziemi” z wojskiem generała Andersa nie mogły podążać do Europy wojennym szlakiem armii. Nim zagłodzone i schorowane zdolne byłyby przetrwać dalszą podróż, musiały nabrać sił jeszcze w Azji. Pani Kira i jej hinduscy oraz brytyjscy przyjaciele zapewнили im godziwe warunki bytu. O jednym z takich osiedli pisał Stanisław Wujastyk w *Sunday Standard* wydawanym w Bombaju (numer z jedenastego listopada 1979 roku). Artykuł był też opublikowany w języku polskim w 1778 numerze londyńskich „Wiadomości” (27 kwietnia 1980).

Dadu Lokhande, Maruti Bhosle i Sadku Gavalt są prostymi ludźmi z przydrożnej wioski Gandhinagar, leżącej pięć kilometrów od Kolhapur. Nic ich nie wyróżnia od reszty zwyczajnych ludzi z tych stron – pisał Wujastyk. Gdyby jednak zawitał do tej wioski przybysz z Polski, mógłby się porozumieć z tymi ludźmi w swoim ojczystym języku. Rozmawiali oni czasem w języku tego odległego kraju, a nie znali nawet angielskiego, który w Indiach jest dość powszechnie używanym, zwłaszcza w miastach, „drugim językiem”.

Nauczyli się polskiego w okresie drugiej wojny światowej, „gdy Brytyjczycy utworzyli w 1943 roku jedno z polskich osiedli”, wyjaśnił Wujastyk.

Maharadża Chhatrapati Shahdži i maharani Toprani, władcy niezależnego wówczas księstwa Kolhapur, pomogli wybudować obóz w Valivade i nazwę miejscowości przemieniono wtedy na Gandhinagar. Obóz, który znajdował się pod administracją brytyjską, liczył pięć tysięcy osób. Polacy sami jednak zarządzali swoimi sprawami pod kierownictwem niejakiego kapitana Grebenka (?). Tworzyli własną samopomoc, sklepy, restauracje, szkoły i boiska sportowe. Obóz dawał też zatrudnienie miejscowej ludności. Był wzorem czystości i dobrej organizacji. Valivade zyskało na znaczeniu do tego stopnia, że otwarto tam stację kolejową Polish Colony Station.

Osiedle zostało zamknięte dopiero w 1948 roku. Polacy rozjechali się do różnych krajów Europy (moi kuzyni osiedlili się w Anglii), Ameryki, Afryki i Australii. W 1975 roku na pobliskich terenach gimnazjum Św. Ksawerego umieszczono tablicę pamiątkową z napisem w języku marathi, angielskim i polskim:

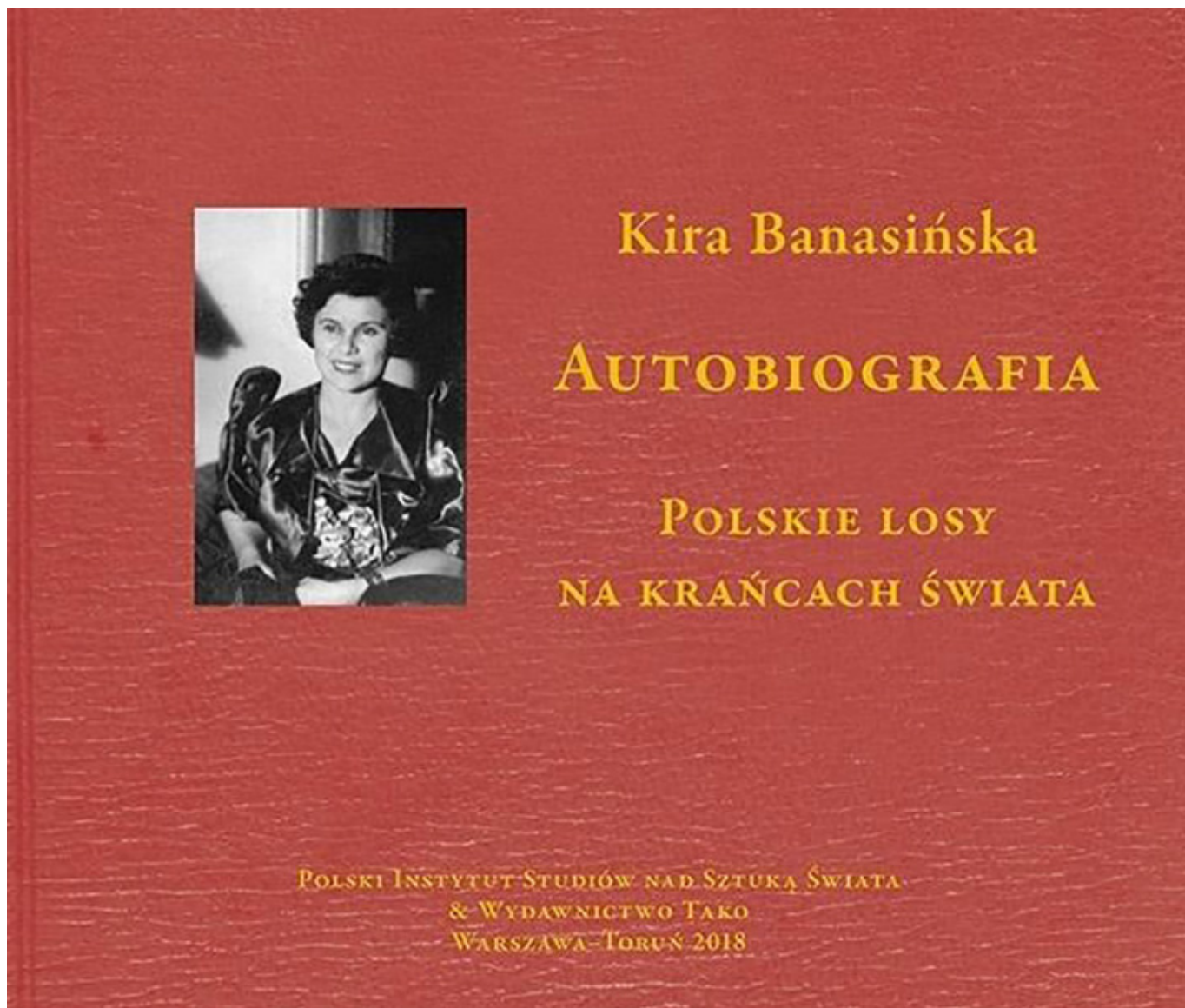
Pamięci siedemdziesięciu Polaków, którzy w drodze powrotnej do swych domów w Ojczyźnie zmarli na ziemi Indii w latach 1943-1948, Valivade, Kolhapur.

Polacy zostali pochowani na lokalnym cmentarzu, który jest pod opieką rzymskokatolickiego i anglikańskiego kościoła. Tę informację znalazłem we własnym archiwum.

W rodzinnym archiwum Julity Korewy nie ma zdjęcia domu pani Kiry w Hyderabadzie. Moje filmy z Azji zostały ukradzione jeszcze przed wywołaniem, jak wspominałem, w czasie podróży Dolly przez Pakistan. Brakuje też zdjęcia z Juhu Beach. Nie widziałem wprawdzie tego domu „krytego liśćmi palmowymi”, ale wyobrażam sobie, że nie mogła to być jedynie skromna chata podobna do tych „krytych strzechą”, budowanych w Środkowej Europie. Bywałem w Juhu Beach u znajomych. Pamiętam tę plażę i przyległe rejony położone na północ od Mahim Bay jako ekskluzywne dzielnice. Był tam elitarny klub podobny do żeglarskich klubów opisywanych przez Józefa Konrada Korzeniowskiego.

Zapewne w pamiętniku Pani Kiry, którego fragmenty cytowane były na łamach „Rzeczypospolitej” (29. 07. 00, nr 176) znaleźć by można dokładniejszy opis każdego z domów państwa Banasińskich. Podczas moich rozmów z panią Kirą, twierdziła, że napisze pamiętnik „kiedy się postarzeje”. Wydawało mi się wówczas, że nie nastąpi to nigdy. Na zdjęciu zamieszczonym przez „Rzeczpospolitą” pani Kira wygląda zupełnie inaczej niż na zdjęciach z archiwum Julity Korewy. Najbardziej podoba mi się zdjęcie z pokładu jachtu sunącego po łagodnych falach jakiejś zatoki. Pani Kira uśmiecha się młodzieńczym uśmiechem. Ma ręce założone pod głowę. Ubrana jest w białą sukienkę z krótkimi rękawami. Na nogach ma sandały z grubą plecioną podeszwą, takie jakie widuje się i dziś w sklepach japońskich. Wygląda tak, jak wyobrażam sobie bohaterki powieści Conrada.

Kira Banasińska z domu Ćwirko-Godycka, ur. 1899 na Syberii, zm. 25 maja 2002 w Hajdarabadzie. W 2018 r. wyszła jej autobiografia, wydana przez Polski Instytut Studiów nad Sztuką Świata.



O innej polskiej działaczce w Indiach, Wandzie Dynowskiej:

<https://www.cultureave.com/gdzie-sie-ganges-toczy/>